

COP DLA PRZYSZŁOŚCI

Od COP-u wieje tajemnicą. Zupełnie jak od UFO, HDI czy CBA. Dopiero po chwili zapala się światełko, że chyba owszem... na lekcji historii... Albo komuś przypomina się, że dziadek COP budował. W Stalowej Woli odkryto, że COP sprzed 70 lat plus współczesna formuła rodem z Muzeum Powstania Warszawskiego równa się atrakcyjny temat do kwadratu. Efekt nazywa się „COP dla przyszłości”.

W latach 80-tych do Stalowej Woli przyjechał redaktor Stefan Bratkowski i mimo że ateista, miał wykład z ambony. Ksiądz Eugeniusz Frankowski pozwolił. Redaktor opowiadał, jak przed wojną jego ojciec kupował Fiata. Kolega poradził mu, by zaczekał i nie brał auta produkcji włoskiej, bo za parę miesięcy dostanie nowiutki samochodzik – dzieło polskich robotników. - *Włoskie dziadostwo nie mogło równać się z polską solidnością* - mówił redaktor - *a cały kościół przeżywał wstrząs*. Pani Ania Garbacz z Muzeum Regionalnego w Stalowej Woli lubi powtarzać tę historię, bo chce, by grupa, którą oprowadza po wystawie „COP dla przyszłości” przeżyła podobny szok i nauczyła się, że przed 70 laty Polak potrafił.

START COPu

„Polska jest jak obwarzanek – to warta, co ma po brzegach” - cytował Wańkowicz Marszałka Piłsudskiego. I ogółem rzecz ujmując, COP stał się po to, aby ten stan przemienić. „Kraj zapomniany od Boga” – centralna Polska - miał zmienić się w „Kraj Nowoczesny”. W widłach Wisły i Sanu, między Pilicą, Bugiem a Karpatami, tam gdzie piasek, pola ziemniaczane, sosenki, chałupy, błoto, nędzne miasteczka, piaszczyste drogi, zamulone rzeki, konie rozstawne i pół milionowe bezrobocie, zaplanowano budowę nowoczesnych zakładów przemysłowych, fabryk, sieci dróg i torów kolejowych, zapór, elektrowni, rurociągów, gazowni i tak dalej.

Dlaczego padło na miejsce, gdzie diabeł mówił dobranoc? Proste: bo do centralnej Polski było najdalej. Skąd? Od granic z faszystowskimi Niemcami i czerwonym Związkiem Radzieckim. Pomysł nie był nowy. W latach 20-tych wojskowi, bogaci w doświadczenia z okresu I wojny światowej i późniejszej wojny z bolszewikami, optowali by skoncentrować tam przemysł

zbrojeniowy. Dzięki nim w widłach Wisły i Sanu narodził się najpierw „trójkąt bezpieczeństwa” - starsza siostra COPu. „Trójkąt” wziął się od tych wideł, a bezpieczeństwo... w obliczu tempa zbrojeń i rozwoju techniki, która sprawiała, że w krótszym czasie można było pokonać duże odległości – w zasadzie było życzeniowe. Tak czy owak koncepcja pozostała w większości w warstwie słownej, gdyż w wyniku kryzysu gospodarczego, który zapanował pod koniec lat 20-tych, wielu inicjatyw nie zaczęto.

Tymczasem kraj potrzebował, aby „przeorała go praca”, jak metaforycznie ujmował to Melchior Wańkowicz. „Otrzymaliśmy ojczyznę z tradycji języka, z miłości serc naszych, ale gospodarczo będącą zlepkiem trzech państw zaborczych, wyniszczonych ponad wszelką miarę”. Roboty było huk, potrzeb co niemiara. Dlatego wicepremier i minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski, twórca portu w Gdyni, inżynier – chemik z wykształcenia ogłosił w 1936 roku czteroletni plan inwestycyjny, w ramach którego miała zostać rozbudowana infrastruktura, nastąpić rozwój przemysłu przetwórczego i zbrojeniowego, rozszerzenie rynku wewnętrznego i obniżenie bezrobocia. Początkowo plan obejmował teren całej Polski, ale w skutek ograniczonych środków finansowych i zbytniego rozproszenia inwestycji, zdecydowano się skoncentrować na „trójkącie bezpieczeństwa”. Inicjatywa miała stanowić przedłużenie Górnego Śląska i stać się pomostem ze słabo rozwiniętymi Kresami Wschodnimi... W 1937 roku COP zaczął przyoblekać się w ciało.

PIÓREM I KAMERA

Swojemu centralnemu położeniu zawdzięcza COP swoją nazwę. Rozszyfrowany skrót oznacza bowiem Centralny Okręg Przemysłowy. Zakłady zlokalizowano na obszarze dzisiejszych województw: podkarpackiego, świętokrzyskiego, mazowieckiego, lubelskiego i małopolskiego. Najbardziej na północ wysuniętymi ośrodkami był Lubartów i Radom, na południe Sanok i Nowy Sącz, na zachód Kielce i Ostrowiec Świętokrzyski, na wschód Rejowiec Fabryczny i Krasnystaw. Okręg ten objechał Melchior Wańkowicz i opisał „polski pochód gospodarczy”. Dokonał tego swoim samochodem o numerze rejestracyjnym A31 – 888, z którym sfotografowano go na kilku budowach copowskich. Z COP-u przesłał swoje pierwsze reportaże przemysłowe. Trafiły potem do książki „Sztafeta”, w której pisarz zamieścił również opisy innych wielkich osiągnięć ekonomicznych międzywojennej Polski. Na przykład tego, jak sprawnie poszło uruchomienie przejętych od Niemców, kompletnie ogołoconych chorzowskich „Azotów” oraz jak budowano Gdynię i flotę polską.

Świadectwo Wańkowicza ma wyjątkowe znaczenie, zwłaszcza w świetle tego, jak potem potoczyła się historia największej inwestycji II Rzeczypospolitej, jak niewiele po niej zostało w wyniku zniszczeń wojennych i jak gęsta mgła tajemnicy ją otoczyła w Polsce Ludowej. Na

szczęście zostały jego teksty, zachowały się fotografie, dokumenty, plany i bardzo szcążkowo – copowskie wyroby. Pamięć o COP-ie swoje ocaliła także X Muza. Na szczęście w odpowiednim czasie w widłach Wisły i Sanu pojawił się człowiek z kamerą: Jerzy Gabryelski, który nakręcił obraz o powstawaniu „na surowym korzeniu”, w swej genezie stuprocentowo copowskiego miasta: Stalowej Woli. Film rozpoczyna się od szerokiego kadru: drastycznie ukazane jest nasze zapóźnienie i dysproporcje w rozwoju w stosunku do innych krajów. Jego wymowa jest jasna: musimy zakasać rękawy i powiedzieć sobie: „naprzód! Żołnierzu z karabinem i żołnierzu z łopata!”. Kolejne migawki, do których rozbrzmiewa muzyka Jana Maklakiewicza ukazują jak zabieramy się do budowania „potoczystych dróg” i „dróg żelaznych”, które będą biegły do „serca Polski”; jak „ujarzmiamy rzeki, a na ich grzbietach będziemy zwozić zboże”; jak dokopujemy się do swojej rudy i „już nam chleba nigdy nie zabraknie”, bo z „rudy żelazo, z żelaza stal, a ze stali siła”. Od tego filmu rozpoczyna się zwiedzanie wystawy „COP dla przyszłości”. Widzowie zazwyczaj się dziwią. Że już wtedy, że taka jakość, taki ogrom, takie tempo. Bez problemu tłumaczą sobie język propagandowy sprzed 70 lat na dzisiejszy język popkultury – wraz z COP-em na ściernisku miało wyrosnąć polskie San Francisco.

POLSKIE DROGI

Tymczasem ekspozycja z okazji jubileuszu COP-u zaczęła się od kwerendy w Chicago. W tamtejszym Muzeum Polskim znajdują się obiekty, które wyjechały do USA w 1939 roku na wystawę światową i już nie wróciły. Wystarczyło je przywieźć i pokazać - wystawa samograj. Okazało się, że za wielką wodą próżno jednak szukać eksponatów z domieszką historii COP-u. Art déco, dwudziestolecie międzywojenne – owszem. Zapomnijmy jednak o przemyśle. A w Stalowej Woli miała powstać wystawa przemysłowa.

Dyrektor Lucyna Mizera, autorka wystawy, ma dobre kontakty w środowisku i opinię doskonałego managera. Wystawę o COP-ie robiła od słowa do słowa, po nitce do kłębka, od muzeów przez archiwa aż do prywatnych kolekcjonerów. Najpierw w ruch poszły telefony. Czy ktoś wie, gdzie można znaleźć, jaki jest stan zachowania, od kogo pożyczyć? Od listopada 2006 do września 2007 roku razem z Krzysztofem Adamkiem z działu historycznego, współautorem wystawy, dwa, trzy dni w tygodniu spędzali w samochodzie. Pojechali w jedno miejsce, tam kierowali ich dalej. Najgorzej było z armatami, a to przecież istotna część produkcji COP-owskiej. Całą Polskę za nimi zjeździli. W mniejszych muzeach spotykali się z większą życzliwością, duże kręciły nosami, że chcą im coś wydrzeć ze stałej ekspozycji. Najprzyjemniej zaskoczyło ich Muzeum Motoryzacji i Techniki w Otrębusach. Pożyczyli stamtąd samochód marki Opel, motor Sokół, wózek dziecięcy oraz kilka rowerów wojskowych, i odetchnęli z ulgą, że już na pewno uda

im się zapelnąć 1400 – metrową halę.

Z tą halą to było tak. Gdy już powstał szczegółowy scenariusz i przyszło potwierdzenie, że będą armaty, ckm-y i reszta broni, trzeba było pomyśleć nad aranżacją. W scenerii pałacyku, w którym mieści się stalowolskie muzeum, wystawa przemysłowa zdecydowanie się nie mieściła. Padło na halę warsztatową przy Zespole Szkół nr 1. Lokalizacja idealna – zaraz obok huty. Stan fatalny – stały w zasadzie mury, a poza tym nic. Nie było podłogi ani instalacji elektrycznej, dach przeciekał, wokół pobudowano garaże. Szalę przeważał czas powstania - lata 30-ste XX wieku - oraz fantastyczna przestrzeń i architektura.

Radni miejscy koncepcję zaakceptowali, chociaż prezydent miasta Andrzej Szlęzak trochę się o ich decyzję obawiał. - *COP to mit założycielski Stalowej Woli* – mówi. Sam jest ojcem pomysłu by 70 – lecie COP-u uczcić właśnie wystawą. Kiedyś Stalowa Wola hutą stała, ale po drodze zdarzyła się transformacja i powstało pytanie o ścieżkę w przyszłość. - *Trzeba ją zbudować, odwołać się do czegoś i nie ma co szukać daleko*. Ponadto prezydent – historyk z wykształcenia pomyślał, że zrobi rocznicę COP-u trochę w kontraście do Powstania Warszawskiego. - *Ja mam do Powstania nawet nie ambiwalentny, ale negatywny stosunek. Natomiast COP to było racjonalne, od początku do końca dobrze pomyślane i zrealizowane. To był ogromny wysiłek organizatorski, myśli technicznej, sprawności ludzkiej, pracowitości. Żaden szaleńczy zryw, choć realizowany w szaleńczym tempie*.

NIE MÓW COP ...

„Słuchajcie, słuchajcie... opowiemy Wam o cyfrach i faktach” - cytat z Wańkowicza dobiega z jednej z trzech sal kinowych na wystawie. - *A fakty są takie, że COP jest czymś rzadkim w polskiej historii* - mówi Marek Wiatrowicz, pracownik działu edukacji Muzeum w Stalowej Woli. - *Nie dość, że nie związany z żadną martyrologią ani z wyczynami militarnymi, to jeszcze wszystko robione było w nim nie po naszymu. Żadnej chałtury, żadne prowizorki, najlepsze licencje, fachowcy, ostra selekcja. Żadnych układów i koleśków, miało być to, co najlepsze*. - *Nie było żadnej chybionej inwestycji do której sensu można by się przyczepić. Jeśli coś się nie udało, to z powodu wybuchu wojny* – dodaje Wiatrowicz. Na jednym ze zdjęć wskazuje nawet taki szczegół, że wtedy bezcelowo nie wycięli ani jednej sosny. Budują sobie fundamenty a drzewa przy wykopie rosną spokojnie.

Rodzina Marka pochodzi ze Stalowej Woli, więc od początku coś tam o COP-ie wiedział. Gdy się wgrzył w temat, zaskoczył go ogrom inwestycji. Człowiek sobie nagle uświadomił, że powstały nie tylko duże zakłady jak na przykład fabryka kauczuku syntetycznego i opon Stomil w Dębicy, ale także liczne małe fabryczki, na przykład akumulatorów w Tarnobrzegu, o której już nikt

nie pamięta. Plus cała infrastruktura. - *Dziś jak zrobimy dwa kilometry autostrady, od razu chcemy święto narodowe ogłosić.* Stalową Wolę budowano dokładnie 26 miesięcy i 26 dni. Aby cyfry przemówiły do młodzieży, Marek zapytał ich, czy wierzą, że w ciągu czterech lat uda się zbudować stadiony na EURO 2012. Poglądowy okazał się też Opel z Otrębusów. - *Powiedziałem im, że takie auto, na tamte czasy bardzo dobre, można było kupić za trzymiesięczną pensję inżynierską w COPie. Od razu im się oczka otwarły.* Do Anny Garbacz podchodzą w tej sprawie młode nauczycielki. - *Z rozmarzeniem w głosie mówią, że chciałyby zostać robotnikiem w COP-owskich zakładach.* Taki robotnik dostawał 240 zł, a byli tacy fachowcy, co wyciągali ponad 1000. Przelicznik jest dość prosty. Wystarczy dopisać jedno zero. Do tego dochodziły sprawy socjalne: powstawały nowiutkie osiedla domków; pracownicy dostawali mieszkania jak spod igły, z łazienką, płytkami, kuchenką gazową. Ojciec pana Batora przyjechał do Zakładów Południowych w Stalowej Woli z Częstochowy. – *W Hucie Częstochowa pracownicy wychodzili po pracy brudni i myli się dopiero w domach. Wodę nosiło się w wiadrach. Zrobić pranie to było przekleństwo. Tutaj w Stalowej Woli mieli w Zakładach własne szafki, prysznice. Pełna kultura.* W sumie w copowskich zakładach stworzono około 100 tysięcy miejsc pracy.

... NIM NIE PRZESKOCZYSZ

Na rozwój COP-u przeznaczano w latach 1937 – 39 około 60% wydatków inwestycyjnych w skali całej Polski. A budżet stalowowolskiej wystawy rósł, rósł i rósł z każdą nową koncepcją. Prezydent zdradza, że wydali ponad milion złotych. 700 tysięcy dało miasto a reszta poszła od sponsorów. - *Jedni chcieli dać, inni musieli* - dodaje. Rzutem na taśmę pani dyrektor napisała projekt do programu operacyjnego i zdołała wyciągnąć dodatkowe pieniądze. Najdroższy był remont hali i aranżacja, sporo wyniósł transport obiektów oraz kwerenda.

Pokazać, że historia gospodarcza może być atrakcyjna, to nie byle jakie zadanie. Jak się poda jedynie suchą informację w rodzaju: COP dzielił się na trzy okręgi: rejon A – kielecki - to surowce: piryt, kamień drogowy i budowlany, kwarcyt, wapienie, fosforyty, rudy żelaza; rejon B – lubelski – aprowizacja: lasy, żywność, hodowla; rejon C – sandomierski – energetyka i przetwórstwo: nafta, gaz, woda i ruda, to celów edukacyjnych się nie osiągnie. Nie uda się też przyciągnąć osób, które wracają z zakupami z placu albo niedzielę spędzają w supermarkecie – co było ukrytym celem prezydenta Szlęzaka. Trzeba tak zakombinować, aby idee okraszyć klimatem, COP-owski zryw wpisać w kontekst, przerzucić mostek między tym, co 70 lat temu i dzisiaj, podsunąć każdemu coś bliskiego sercu. A że każdy lubi inne piosenki... Z tysięcy myśli trzeba było zrobić projekt, który wszystkich w miarę by zadowolił. Na przykład starszy pan Kopyto. Miał

zastrzeżenia, że tak mało na wystawie Stalowej Woli. Trzeba było mu wytłumaczyć, że chodzi głównie o COP, a Stalowa Wola jest przy okazji. Albo ktoś miał uwagi, że biogramy za bardzo są w cieniu. Lub, że zdjęcie wisi za wysoko. Dlatego scenografia wystawy jest jednym, wielkim kompromisem.

Przez rafy tematów kontrowersyjnych, mielizny odmiennych danych i srogie zastępy ludzi niezadowolonych przeprowadził wystawę konsultant merytoryczny. Rolę tę przyjął profesor Jerzy Gołębiowski z Akademii Pedagogicznej w Krakowie.

Strach przed wpadką, że się coś lub kogoś pominie, był największy. Dlatego jest i Gdynia – największa przed COP-em inwestycja II Rzeczypospolitej, i „trójkąt bezpieczeństwa”, żeby ludzie mieli pełny obraz. - *Różne osoby zakładały się ze mną, że nie uda mi się tej wystawy zrobić* – wspomina Lucyna Mizera. - *Wygrałam. Do dziś czekam na splotę długu.*

BOND Z TACZKAMI W 3D

Na wystawie multimedialnej, pośród wielkoformatowych fotografii, w świetle halogenowych lamp i przy ryku silników startujących samolotów znalazły się... taczki. Zwykle, drewniane. No, może nie tak do końca zwykle, bo mają 70 lat i wozily złoty piasek po przyszłych ulicach Stalowej Woli. Takich taczek we wszystkich zakątkach COP-u pracowało tysiące. Kursowały na terenie wyznaczonym pod budowę zapory i elektrowni wodnej w Rożnowie, w miejscach, gdzie wyrastały fundamenty fabryki obrabiarek w Rzeszowie, płatowców w Mielcu, gum jezdnych „Stomil” w Dębicy, celulozy w Niedominie, broni w Radomiu, prochu i materiałów kruszących w Pionkach. Nie było wtedy wielkich maszyn ani nowoczesnego sprzętu. Robota jednak wrzała. Jak było trzeba, pracowało się na trzy zmiany i dłużej. COP trwał od 5 lutego 1937 do 1 września 1939. Brakło dwóch lat, by go ukończyć. - *Pojawia się myśl jakby dziś wyglądała Polska, gdyby nie wojna...* - zauważa Anna Garbacz.

Wśród pracowników stalowowolskiego muzeum panuje opinia, że życiorys każdego z budowniczych COP-u nadaje się na godzinę filmu fabularnego w stylu Bonda. Wyposzczeni po zaborach, legionieści, przeszli przez I wojnę światową, wywalczyli niepodległość, a potem umieli ją zagospodarować i z munduru wskoczyli w inżynierski garnitur. Konstruktor zapory w Rożnowie na przykład. Nazywał się Balcerski, młody 33-letni chłopak. Gdy wybuchła II wojna światowa walczył pod Kockiem, a potem wrócił do Rożnowa, by przekonać Niemców do zakończenia prac przy zaporze, bo wiedział, że jak na wiosnę Dunajec ruszy, to wszystko zmiecie. Myślał sobie: Niemcy tu będą krótko, a zapora zostanie. I dziś takie myślenie doprowadziłoby go przed komisję śledczą. Albo Eugeniusz Kwiatkowski. Oskarżano go, że po wojnie współpracował z komunistami. A on, jak cała reszta, miał taką „pokusę zrobienia czegoś dla Polski”, że to było silniejsze niż

uprzedzenia - *Tylko życzyć dzisiejszym politykom takich pokus* – podsumowuje Anna Garbacz.

Krzysztofa Langa, twórcę aranżacji „COP dla przyszłości” z budowniczymi COP-u z przeszłości łączy niewiarygodne tempo pracy i nieprzespane noce. Ale Lang jest absolutnym kaskaderem, co oznacza, że im ma mniej czasu na działanie, tym lepiej. Pracując na granicy możliwości wykonawczej odczuwa perwersyjną przyjemność. Nie ma mowy, aby coś nie wyszło. Nadawał się do Stalowej Woli jak ulał, choć nigdy wcześniej tu nie był. Pracę zaczął od tego, że usiadł i narysował halę. Podstawa to kontekst. Następnie poszedł od syntezy do analizy. - *Jeżeli syntezą jest duch epoki, to trzeba spojrzeć na całość z lotu ptaka, a taką możliwość daje 3D, i narzucić tej całości plastyczny charakter. Wyrzeźbić ją. Szczegóły, gdzie co postawić, przychodzą później* – mówi Lang.

SZTAFETA

Ekspozyty z czterdziestu muzeów zaczęły przyjeżdżać w sierpniu 2007 roku i trwało to trzy miesiące. Zdarzało się, że jakiś obiekt w ostatniej chwili wypadł i trzeba było wszystko reorganizować. Dwa dni przed otwarciem wystawy jeszcze schła podłoga, bo trzeba było ją w ostatniej chwili przemalować. - *To był niebezpieczny moment* – przyznaje Lang. Okazało się, że gdy się ma przed sobą duże przestrzenie, to kolor przestaje być tym kolorem, o którym się myśli. Inaczej wygląda na 10 niż na 6000 metrów kwadratowych. - *Ponadto ważny jest jego kontekst. Jak wszystko jest beżowe, to zaczyna nie być beżowe, bo nie ma tego do czego odnieść. Wnętrze wyszło odrobinę za różowe, ale odrobinę na każdych 10 metrach, czego razem było za wiele.*

Przez cały okres prac w hali w pobliżu kręcili się chłopaki z sąsiedniej szkoły. Mieści się w końcu za ścianą. - *Podeszłam kiedyś do nich i zagadnęłam. Nie rozpoznali mnie, bo byłam w ubraniu roboczym, jak wszyscy. Ustawiliśmy już samochód, działa i kilka innych obiektów. Zaczynało to wyglądać. Pytam: i jak, będzie coś z tego? Odpowiedzieli po swojemu: no, k... super. Wiedziałam już, że zmierzamy w dobrym kierunku* - mówi dyrektor Lucyna Mizera.

Na półmetku było najciężej. 48 godzin na chodzie, cała kadra w akcji, wielkie odliczanie, a końca nie widać. Sen z powiek spędzało zimno i wielkoformatowe wydruki: tapety oraz zdjęcia. Dojechały z warszawskiej drukarni dopiero o 7 rano w dniu otwarcia wystawy. O 11 robotnicy stali jeszcze na drabinach, tapetowali i montowali fotografie; o 12, gdy przyszli już pierwsi goście, z hali wypychano ostatnie rusztowania. - *Wchodzę do środka, słyszę jakieś stukania, wokół tylu ludzi, wiedziałam, że całą noc pracowali i myślę sobie: o matko! Nie zdążyli! Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to dźwięki specjalnie przygotowane na wystawę* – wspomina Anna Garbacz. Zwiedzający na te porykiwania silników, hałasy młotów, szczęk kół żelaznych reagowali zaskoczeniem. - *Podchodzili i mówili, że w pierwszym momencie zdawało im się, że to wystawa się*

wali – komentuje Lucyna Mizera. - *Nigdy w czymś tak oryginalnym uczestniczyli.*

Prezydent Andrzej Szlęzak bywał na placu budowy co drugi dzień. W jego oczach było widać strach, choć sam się do tego nie przyznaje i stwierdza, że po prostu był ciekaw, jak wystawa rośnie. Zresztą wszyscy wzajemnie uspokajali się, że projekt powstaje w iście COP-owskim czasie i klimacie.

Z HALI ZRUJNOWANEJ ...

Krzysztof Lang chciał pokazać wzrost. Gdy zamknął oczy, wyobrażał sobie miasto, które powstaje w dwa lata, szklane domy, które biorą się z niczego. Służyło to celom praktycznym. Hala warsztatowa jest wysoka i zachodziła potrzeba, aby ją zrównoważyć dużymi bryłami. Inaczej małe gablotki by się zgubiły. Tak duża przestrzeń wystawiennicza to rzadkość, generalnie muzea są niskie, małe, zaadaptowane z budynków, które niegdyś służyły innym celom. W Stalowej Woli można było złapać oddech, zagrać skalą, zrobić skróty perspektywiczne. Dlatego tapety o wzorach pseudomodernistycznych występują w czterech rozmiarach. Był to sposób na oszukanie oka.

Ważne było rozbicie hali, stworzenie miejsc, zaułków, do których można wejść, zajrzeć. Zresztą, trzeba ją było podzielić na dwie części, w skali mniej więcej 2/3 do 1/3, bo zagospodarowanie całości przerosło wszelkie oczekiwania i możliwości: zarówno ekonomiczne jak i z wypełnieniem. Na część wyłączoną z ekspozycji pomysł był prosty: wojna. Wywieziono tam gruz, odseparowano specjalną zasłoną, a na ścianie puszczone filmy. Doszło jeszcze czerwone światło pożogi. To wewnątrz można podglądać, ale nie można tam chodzić, co stworzyło dodatkową bajkę do wystawy. - *Dzieciaki nieraz pytają, kiedy ta część będzie gotowa* – zauważa Lucyna Mizera.

Wszyscy odwiedzający ciągną na magiczną uliczkę. Tymczasem prezydent Andrzej Szlęzak przyznaje, że przez chłopięcy egoizm najbardziej lubi bawić się przy panelu elektrycznym. Po naciśnięciu odpowiedniego guzika, podświetlają się główne zakłady COP-u, sieć dróg, kolejowa i energetyczna. - *Uliczka była akcentem zmiękczającym, gdyby wystawa mówiła tylko o wymiarze produkcyjnym, nie byłaby tak atrakcyjna* – mówi Lucyna Mizera. Na bruku rozlega się stukot obcasów, słychać klakson auta i świergot ptaków. Widzowie mijają księgarnię, skład towarów mieszanych i zabawek, sklep z towarami żelaznymi, fotografa, Poczta Polska, ubiory i galanterię. - *Problem polega na tym, by oszukać widza. W dobrym znaczeniu* – mówi Krzysztof Lang. Działa to mniej więcej tak: jak się pokaże kawałek drogi z prawdziwym samochodem, a obok nieprawdziwe sklepy, to widz ma wrażenie, że całość jest prawdziwa.

...NA WYSTAWĘ MULTIMEDIAŁNĄ

Gdyby w Polsce było przynajmniej z dziesięć muzeów i wystaw multimedialnych, to nikt by nie mówił, że COP ze Stalowej Woli przypomina Muzeum Powstania Warszawskiego. Choć Krzysztof Lang i z jednym i z drugim miał do czynienia. - *W COP-ie mamy jedną konkretną historię i 10 razy mniej do opowiedzenia na tak dużej powierzchni. W Warszawie to fabryka informacji, totalne urządzenie kulturalno – historyczne* - wyjaśnia. W Stalowej wszystko odbywało się łagodniej. Zero presji społecznej, ekspozycja od początku tymczasowa, można sobie było pozwolić na scenograficzną nonszalancję. W Muzeum Powstania Warszawskiego scenariusz podkreślono na maksa, ponadto w grę wchodziły dużo większe pieniądze. Jak miała być stal, to była stuprocentowa, jak szkło dwucentymetrowe, to takie się zamawiało. - *Myśmy kombinowali, jak zrobić statek z karton - gipsu czy witrażem z drewna. Warszawa to wyrafinowana perfekcja, COP to spontaniczna budowa.*

Członkowie Klubu Seniora nie chcieli z wystawy wychodzić. Przypomniły im się lata młodości. Ktoś krzychał, że rozpoznał na zdjęciu sąsiada, inny chwalił się, że jego mama obsługiwała do stołu prezydentowi Mościckiemu, gdy w 1938 wydał pamiętny obiad na stadionie w Stalowej Woli. - *Młodzieży najbardziej podoba się laleczka Czaki. Tak ją ochrzczili, bo ma taki straszny wyraz twarzy, generalnie jest sfatygowana przez czas* – mówi Wiatrowicz. Dziewczyny zachwycają się czarnym wachlarzem z piór strusich, bordową torebką ze skóry wężowej oraz grafitową sukienką Chanel w grochy. Chłopaki? Wiadomo...

Na COP-ie – bo w Stalowej „idzie się na COP” - odnotowano kilka rekordów. Na przykład takich: w zeszłym roku szkolnym III z I SZ 1 jako jedyna klasa zwiedzała 3 godziny, w całości obejrzała „Trędowatą”, oraz zapamiętała, czym się różni nabój od pocisku. Szkoła Podstawowa nr 11 cała, co do ucznia, zwiedziła wystawę w dwa dni: razem 700 osób. Pierwszego dnia przyjechało 7 grup po 50 osób, drugiego tyle samo. Wynajęli autobusy i krążyli wahadłowo, co godzinę. Najdalej położone miasto, skąd przyjechał turysta indywidualny - Szczecin, chociaż trafiali się również goście z zagranicy: Anglicy, Niemcy i Bułgarzy, Łotysze.

Otwarcie wystawy w Stalowej Woli trafiło na fatalny moment. Wybory. Ekipa PiSu już się spakowała, drużyna PO jeszcze nie weszła. Wśród mieszkańców zawód był totalny, bo o „COP dla przyszłości” nie mówiły media ogólnopolskie. - *Wszyscy chcieli pokazać, co my tutaj mamy. Nie ma nic lepszego dla budowania tożsamości tego miasta* - stwierdza Lucyna Mizera. Pociuszający jest fakt, że kiedy eksponaty zostaną rozwieszane do macierzystych placówek praca będzie trwała dalej. Muzeum COP-u powstanie, choćby wirtualne. Już teraz można w sieci przejść się po wystawie, obejrzeć eksponaty w formacie 3D, fotografie, filmy, zapoznać się z biogramami twórców COP-u i wysłuchać wspomnień ludzi, którzy widzieli ten cud gospodarczy na własne oczy. (www.cop.stalowawola.pl).